

# Jacek Dukaj

## Złota Galera

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy szef wywiadu Ziemi obficie pocąc się wyjaśniał Prezydentowi czemu nadal nie wie nic konkretnego, neosatanista Michael Condway odprawiał imash, zaś Złota Galera majestatycznie dryfowała na peryferiach ziemskiego imperium. Wtedy też w unoszącym się pięćset metrów nad ziemią, wysokim na trzy kilometry wieżowym budynku Błogosławionych Zastępów arch. Charles Radiwill, przechadzając się przed panoramicznym oknem, czekał na kierowników działów: trzeciego i czwartego.

Pierwszy przyszedł McSonn, który doprawdy miał powody do nadgorliwości, albowiem już od czterech dni bezskutecznie starał się wypełnić zadanie, za które Błogosławione Zastępy zainkasowały czternaście milionów. Od stu czterech godzin Dział Zleceń Rządowych harował bez wytchnienia wykonując jego nawet najbardziej idiotyczne polecenia.

McSonn bezszelestnie wsunął się do ogromnego gabinetu archaniola, bezszelestnie usiadł na jednym z foteli unoszących się dookoła konferencyjnego stołu, tradycyjnie wspartego na czterech nogach. Po czym nie odezwawszy się ani słowem wbił wzrok w krzyż wiszący nad drzwiami i znieruchomiał. Jego dusze przyjazne powiadomiły go, iż ma nadejść jeszcze Golloni, dodając przy okazji, że Radiwill rzucił już dzisiaj kilka klątw i jest w paskudnym humorze.

Kierownik Działu Zleceń Specjalnych nadszedł, jak zwykle, w starożytnym ubraniu hipisa. W odróżnieniu od reszty błogosławionych, którzy odziewali się tak, by jak najlepiej wtopić się w otoczenie, on zakładał stroje rzucające się w oczy, co najmniej dziwaczne, dzięki czemu nikt nie posądzał go o przynależność do Zastępów. Jako hipis prezentował się najefektowniej. Długie, rude włosy pozlepiane w strąki opadały na seledynową wypłowiałą kurtkę, z konieczności rozpiętą, bowiem nie posiadała ona niczego w rodzaju zlepu, zamku czy guzików. Spod kurtki wyzierała kudłata pierś z wytatuowanym krzyżem, w który Colloni zaklął swoje zdolności, co było o tyle sprytne, iż żeby go ich pozbawić, należałoby obedrzeć go ze skóry. Zamrażanie swych nadprzyrodzonych zdolności przynosiło wielkie korzyści i pomimo zakazu stosowali je wszyscy błogosławieni.

Pochwę na rękojeść skrytą miał Co(loni we frędzlach pokrywających prawie całe spodnie. Klejnot Przyjaciela nosił w gigantycznym kolczyku obciążającym lewe ucho.

Był to oryginał jakich mało, i nikomu nie śniło się, iż mógłby być zastępcą archanioła potężnych Zastępów.

- Pochwalony... - mruknął sadowiąc się w fotelu.

Radiwill wymamrotał coś w odpowiedzi i nie zadając sobie trudu delikatnego wprowadzania w sprawę szybko zarządził:

- Colloni przejmuje twoje zadanie, McSonn. Od zaraz. Zostało tylko trzy dni do terminu - przygryzł wargi i spojrzał na paznokiec. Cholernie mu się śpieszyło. - Zdajesz sobie sprawę, Colloni, czym byłaby porażka: Błogosławione Zastępy zawsze wypełniają powierzone im zadania. Masz pierwszeństwo. Bierz ludzi jakich chcesz, rób co chcesz, ale pamiętaj o terminie. Trzy dni, Colloni, trzy dni!

## **Dzień pierwszy**

Odczekali aż za Radiwillem oddalą się jego dusze przyjazne i zgodnie odetchnęli.

- Gdzie on tak pognał? - spytał Colloni wyjmując skądś brunatny liść dajerru.

- Zdaje się, że ma spotkanie z szefem wywiadu.

Colloni gwizdnał nie przerywając zucia, co wprawiło w zdumienie McSonna. Przetrawił on swą klęskę z miną diabła topionego w święconej wodzie i podobnie jak Radiwill wściekał się na cały świat.

- Przestań - warknął. - Wyglądasz jak krowa.

- Krowa?

- Takie zwierzę.

Colloni wzruszył ramionami i żuł dalej.

- No, co jest? - zniecierpliwził się napoczynając drugi liść. Charles chyba coś powiedział, nie?

Z kolei McSonn wzruszył ramionami. Wstał i podszedł do niewidzialnego

pulpitu. W gabinecie zaległa ciemność a nad stołem pojawił się wycinek kosmosu z fragmentem odległego słońca.

- Altair - wyjaśnił. - Dziesięć dni temu, ni z tego, ni z owego zjawilo się tam... to!

W polu widzenia pojawił się dziób okrętu. Morskiego okrętu. Błyszczał żółtym blaskiem, cały jaśniejący, od masztów do nieheblowanych desek dna.

- Co za cholera? - Colloni gwałtownie odepchnął się od stołu. - Za odpowiedź na to pytanie wywiad zapłacił czternaście milionów. Nam zapłacił. A my nadal nic nie wiemy. - McSonn smętnie pokręcił głową.

Nad stołem w całej okazałości lśnił teraz wielki statek. Zapewne takie jednostki pływały w odległych wiekach. Trzy żagle powiewały na nie istniejącym wietrze, na szczycie środkowego masztu, niczym małe słońce, jarzyła się czerwona lampa. Przed dziobem, zlepią z kadłubem plecami, tkwiła rzeźba ludzkiej postaci.

Ujęcie z góry: pusty pokład, wzdęte płachty żagli.

- To ma być żart? - prychnął Colloni.

- Żart? Jeśli to żart, musiał kogoś drogo kosztować. Galera ma trzy tysiące kilometrów długości. I cała zrobiona jest ze złota.

- Przeliczyłeś ile to forsy? - wymamrotał Colloni.

McSonn popukał się w głowę.

- Z tobą coś nie w porządku. Colloni otrząsnął się.

- Galera; powiadasz... a wiosła?

- Według najnowszych obliczeń jest ich około sześćset miliardów.

- He?

- Sześćset miliardów. Rzecz w tym, że o ile cały okręt jest zrobiony w straszliwym powiększeniu, to wiosła są naturalnej wielkości, Raczej trudno je dojrzeć.

- Halucynacja...? Kłątwa...? Widmo...?

- Niestety, stary - McSonn uśmiechnął się krzywo i spojrzał na paznokcie. - Już za późno. Czas na mnie. Za dwie godziny mam lot na Lalande. Pochwalony.

- Chwalony... chwalony... - mruknął Colloni. Czuł w ustach borzki smak porażki. Splunął i wyszedł z gabinetu.

Na korytarzu i w szybach wszyscy usuwali mu się z drogi. Tu szybko roznoszą się wieści. Zwłaszcza złe. Dotarł do piętrowego swojego działu, wprosił się do Stadochiego i kazał mu anulować cały harmonogram najbliższych dni. Potem, okazawszy wystarczającą ilość oznak złego humoru, by nikt mu nie przeszkadzał przez kilka godzin, zamknął się w swym ciemnym, małym pokoiku, sprawdził kto aktualnie dybie na jego duszę i podłączył się do mózgu.

Informacji na temat Złotej Galery zebranych przez McSonna nie było zbyt wiele. Dzięki trzem automatycznym sondom orbitującym w bezpiecznej odległości od statku, został dokładnie obfotografowany, wymierzony i zważony. Nie wiadano skąd przybył, albowiem pojawił się nagle i z całą pewnością nie wyszedł z antykosmosu (teleportacja?). Nie miał też żadnego napędu, a przynajmniej niczego takiego nie było widać. Galera dryfowała na obrzeżach układu gwiazdy Altair z prędkością piechura, czyli właściwie nie poruszała się. Co do jednego atomu składała się ze złota - łącznie z żaglami - za co specjaliści ręczyli głowami. Owa lampa na szczycie drugiego masztu istotnie była miniaturowym słońcem zamkniętym w klatce o kształcie ostrosłupa, cudem nie topiącej się. To dzieło sztuki wykonane było ściśle według średniowiecznych wzorców, co, jeśli brać pod uwagę wariant OBCYCH, dawało do myślenia.

W dwadzieścia cztery godziny po zjawieniu się Galery, kiedy zawiodły wszelkie próby porozumienia się z jej właścicielami, wysłano dwa desantowce komanda KSZ, które zbliżyły się do obiektu na odległość miliona kilometrów. Wkrótce potem z powodu utraty kontaktu z ludźmi, mimo sprawnej łączności, musiano je zdalnie ściągnąć do bazy. Załogi żyły, ale dotąd nie ocknęły się z letargu. Z wyjątkiem jednego człowieka, który oszalał. Colloni włamał się do tajnego mózgu KSZ i wyciągnął stamtąd charakterystykę tego pomyleńca. Jedno, co było w niej nietypowe, to jego przesadna pobożność. A poza tym był to człowiek, jakich miliardy.

Po nieudanym desancie komandosów spróbowano szczęścia z jednostkami bezzałogowymi. Pomimo najszczerzych chęci docierały na odległość pół miliona kilometrów i dalej za cholere nie poszły. Mechanizmy odmawiały posłuszeństwa i koniec. Sześć dni wywiad męczył się z tym diabelstwem, aż wreszcie wybulił

czternaście milionów i zrzucił sprawę na inne barki. Tak się złożyło, że były to barki McSonna, które ugięły się pod tym ciężarem. Siłą rzeczy spadł on na Colloniego.

Było w pół do drugiej, kiedy Colloni skończył studiowanie dokumentacji. Na samym końcu znajdowała się informacja, która nadeszła przed kilkoma minutami. Pochodziła z sond pilnujących Złotej Galery. Donosiły one, iż Galera zwiększała szybkość do czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę.

Następnie Colloni przejrzał listę poczynań McSonna i połowę z wyszczególnionych tam punktów razem z własnym komentarzem przebił na drugie ziarno. Przesłał je Stadochiemu z rozkazem powtórzenia tych operacji. Stadochi, który nie miał pojęcia o istnieniu Złotej Galery (informacja była ściśle tajna) a wiedział, że szef ma kłopoty, nie raczył się nawet zdziwić. Wykonał polecenie, ale obeszło się bez rewelacji. Trzeba przyznać, iż McSonn zrobił, co tylko mógł.

O 15.15 Colloni zdecydował się skonsultować z Przyjacielem.

Miskialiatol pojawił się wśród migotania nieziemskiej mgły, otoczony szafirowym blaskiem i siecią swych siwych, sięgających ziemi włosów. Lśnienie białej szaty raziło oczy. Obłok rozwiął się i Miskialiatol uniósł pomarszczoną twarz, spojrzał na zasepionego Colloniego i smętnie pokiwał głową, zupełnie jak McSonn.

- No i powiedz, co ja mam zrobić? Żadnego punktu zaczepienia; nic, zupełnie nic! - Colloni rozłożył ręce w geście bezradności.

Przyjaciel, za pośrednictwem Klejnotu doskonale poinformowany o wszystkim, usiadł w fotelu po drugiej stronie biurka.

- Obejrzyj sobie dokładnie dziób Złotej Galery - . powiedział zmęczonym, starczym głosem. - W tym hologramie zauważyłem coś niepokojącego. Niej zawsze mówił, że nie zwracasz uwagi na szczegóły. Ta rzeźba na przodzie... Jest w niej coś dziwnego.

Colloni przez chwilę huśtał się w fotelu porozumiewając się z przyjaznymi duszami, wreszcie westchnął i wywołał hologram. Powiększył dziób i oto na tle ciemnej otchłani błyszczała wielka, złota rzeźba.

- Niczego ci to nie przypomina?

- Chryste! - Colloni ruchem szybkim jak błyskawica zgasił obraz zabezpieczając się od automatycznego uroku. - To szatan!

- No właśnie. - Przyjaciel wstał. - Jeżeli tą sprawą należy do przeklętych, to chyba ty wiesz najlepiej co robić - oświadczył i zniknął.

Colloni zatarł ręce.

O 17.45 miał już gotowy plan.

O 18.08 wydawszy odpowiednie rozkazy wsiadł do strato i odleciał.

O 19.53 nadeszła informacja o znacznym przyśpieszeniu Złotej Galery.

O 20.40 mknęła ona z prędkością 79 tys. km/s. Mknęła w kierunku Ziemi. O 22.30 do •budynku Błogosławionych Zastępów powrócił arch. Radiwill i rozkazał natychmiast odnaleźć Colloniego. Poszukiwania nie dały rezultatu.

O 24.00 szybkość Złotej Galery wynosiła 134 tys. km/s. Radiwill chodził i rzucał klątwy.

## **Dzień drugi**

Środkowoeuropejski Rezerwat Krajobrazowo - Przyrodniczy był obszarem dość znacznym i bez specjalnej mapy trudno byłoby odnaleźć leśniczówkę, w której mieszkał jego nadzorca, niejaki pani Rosen. Przez niedopatrzenie, czy też zbytni pośpiech, Colloni owej mapy nie zabrał. Oczywiście mógł się połączyć z mózgiem Zastępów, lecz byłoby to równoznaczne ze zlokalizowaniem go przez zastraszonych błogosławionych. Do najbliższego ośrodka miejskiego miał pół godziny lotu, która wraz z powrotem dawała okrągłą godzinę. Krążąc nad rezerwatem Colloni ani myślał zawracać i głupio tracić' cenne sześćdziesiąt minut. Węsząc za ciepłymi ponad normę punktami w leśnej głuszy, odpowiednio zaprogramowany autopilot zawiódł go nad trzy nielegalne ogniska. Poza spłoszeniem turystów żadnych korzyści z nocnego szybowania nad puszcza Colloni nie wyniósł. Straciwszy zaufanie do nauki, zawierzył swojemu instynktowi. Przerzucił się na sterowanie ręczne i po dwudziestu minutach błądzenia w ciemnościach, 01.27 strat miękko osiadł na małym lądowisku położonym tuż przy unoszącym się sześć metrów nad ziemią budynku leśniczego.

Colloni włączył przeraźliwy sygnał alarmowy swej maszyny, którym zapewne obudził pół rezerwatu. Oraz pana Rosena.

Ciemny sześcian nagle wybuchnął światłem, z niewidocznych głośników wychrypiało:

- Co to za wygłupy, do jasnej cholery?

Colloni nie mniej donośnie wrzasnął przez tubę powietrzną w pokrytą milionami cieni puszcze:

- Panie Rosen...! Chciałbym z panem porozmawiać. Natychmiast.

- A idź pan do stu diabłów! Jest wpół do drugiej w nocy!

- To pilne! Przyleciałem tu specjalnie z Sydney. Jestem z Błogosławionych Zastępów.

- Co?

- Z Błogosławionych Zastępów!

- A... mógłby się pan pokazać?

Colloni żałując, że się nie przebrał, wyszedł ze stratu. Igły larów o małej mocy a szerokim promieniu wyszukały go w mroku.

- Pan... pan jest z Zastępów? - leśniczy aż się zachłysnął.

- Już mówiłem! Muszę z panem porozmawiać. Teraz.

- Eee... ~ - Rosen wyraźnie wahał się. - A znak?

Colloni wyciągnął z kieszeni plakietkę Zastępów. Trzymał ją w wyciągniętej niczym nie chronionej dłoni i jakoś nie trafiał go szlag. To ostatecznie przekonało Rosena.

Z budynku opuściła się mała platformka i Colloni czym prędzej na nią wbiegł, bojąc się, że podejrzliwy leśniczy może zmienić zdanie. Wspaniała iluminacja nagle zgasła i Colloni na ułamek sekundy oślepl. Zaraz potem mózg przystosował oczy do ciemności i z powrotem do światła, albowiem platformka bezgłośnie wsunęła się do wnętrza leśniczówki.

Pan Rosen był wyjątkowo nieufny i w przedsionku pełnym starożytnych poroży czekał z rdzewiejącym laserem w dłoniach. Nawet nie starał się go skryć, co zresztą byłoby trudne z uwagi na rozmiary zabytkowej broni. Zaprowadził

Colloniego do pokoiku pełnego futer wypłowiałych, jak kurtka błogosławionego i usiadł w głębokim fotelu, wciąż ze spluwą w pogotowiu.

- Pan chciał o czymś porozmawiać - zauważył.

- Owszem. Półtora roku temu złożył pan zamówienie na sprzątnięcie jednego neosatanisty.

- A tak. I, niech was piekło, przez ten czas nikt się nie zjawił! - walnął wielgachną pięścią w poręcz, która niebezpiecznie zaskrzypiała. Leśniczy był małym, zaaferowanym człowieczkiem o wielkich dłoniach i ziemistej cerze. Przypominał oburzonego na wszystkich gnoma. - Jak wy traktujecie klientów?!

Kolejki do Błogosławionych Zastępów nigdy się nie zmniejszały i, pomimo ciągłych naborów, Zastępy były w tyle za terminami. Nie nadążali i już.

- Panie Rosen... ! - rzekł z wyrzutem Colloni. - Przecież widzi pan, że jednak pofatygowałem się.

- Za to wam płacę. Pofatygowałem się. W środku nocy!

- Panie Rosen! - Colloni zdążył się zdenerwować. - Nie przyszedłem tu wysłuchiwać skarg. Albo mi pan pomoże, albo lecę zająć się czym innym.

Rosen spojrzał podejrzliwie.

- Pomoże? Co pan przez to rozumie?

- No... muszę przecież wiedzieć, gdzie on się ukrywa, czy ma jakichś koleśków...

- a... to, to mogę panu powiedzieć - leśniczy uspokoił się. Ale... chyba nie będzie pan na niego polował w nocy...!

- A dlaczego?

- Tego... Więc jak pan wyleci stąd na południe, to będzie tam taka rzeczka, dalej dolinka, druga rzeczka i strumień. Poleci pan z biegiem strumienia aż do wzgórz, przeleci pan na ich drugą . stronę, tam jest taka duża polana, zauważy pan, to na północnym krańcu... tam go najczęściej widuję.

- Najczęściej? To znaczy, że bywa i gdzie indziej?

- No... nie.
- Na pewno jest sam?
- Nikogo innego nie widziałem: Colloni wstał.
- Dziękuję. Postaram się zawiadomić pana jak już wykonam zadanie.
- Mógłbym wiedzieć ile wyniesie honorarium?
- Honorarium?
- No właśnie - Rosen oblizał wargi.
- Przyślemy panu ziarno rozliczeniowe.

Leśniczy podrapał się w głowę, wzruszył ramionami i podążył za błogosławionym, który dotarł już do przedsionka.

- Przepraszam, że pytam... ale... wy wszyscy chodzicie tak ubrani?
- A tak, wszyscy.

Colloni łagodnie spłynął w dół pozostawiając w jasnym kwadracie zde gustowanego Rosena. Zeskoczył z platformki nim jeszcze dotknęła ziemi i podbiegł do stratu.

Lecąc według wskazówek leśniczego kilka razy pomylił drogę, lecz w końcu dotarł do owej wielkiej polany. Była za sześć trzecia.

Colloni posadził strat na wschodnim krańcu polany i błyskawicznie z niego wyskoczył. Skrył się za rozłożystym dębem i zza jego pnia obserwował maszynę, cichą i ciemną. Przeczekał kilka minut i kazał duszom spenetrować okolicę. Wróciły po chwili nie spotykając niczego niepokojącego poza zwłokami starego wilkołaka, nietkniętymi przez żadne zwierzęta. Colloni wciągnął powietrze. Dawał się wyczuć nikły zapach palonego kłasszu. Tak jak mówił Rosen pochodził on z północnego krańca polany.

Błogosławiony przeżegnał się, spryskał święconą wodą ze srebrnego flakonika, ryzykując wystraszenie neosatanisty, jeżeli ten już całkiem zszataniał. Po czym rozmieścił wokół siebie dusze i ruszył brzegiem lasu na północ. Wiatr miał przeciw sobie i wiatr ten niósł intensywniejszą woń kłasszu. Colloni wyciągnął

rękojeść sprawdzając opuszkami palców, niejako z przyzwyczajenia, ustawienie poszczególnych przełączników.

Na miejsce dotarł o 3.35. Ognisko było zgaszone, szalas na w pół rozwalony przez ostatnią burzę, a neosatanista najwyraźniej nie chciało się go naprawiać. Był to raczej prymitywny i niedoświadczony czciciel zła. Colloni nie natrafił na żadne klątwy warunkowe ani bariery. Jedynie grudki starej zakrzepłej krwi noworodka strzegły szalasu. Colloni przez lata ćwiczoną ruchem ściągnął mięśnie lewej dłoni i gdy z każdego paznokcia wystrzelił w ciszy promień lasera, przeciął się on z innymi dokładnie na grudce krwi. W ten sposób błogosławiony wypalił sobie drogę i przyskoczył jak duch do szalasu.

Ale neosatanista nie dał się wziąć przez zaskoczenie. Wyczołgał się z drugiej strony kupy gałęzi i chrustu i ze starodawnym, lecz niewątpliwie skutecznym miotaczem skrył się za powalonym pniem. Colloni zdążył jeszcze skierować palcowy laser, ale spalił tylko korę z tego pnia. Satanista natomiast od razu puścił długą serię. Las zahuczał.

W tej samej nanosekundzie wegetatywny układ nerwowy Colloniego przejął funkcje układów obwodowego i ośrodkowego, i mózg, który w połowie był maszyną sprawił, iż błogosławiony zmienił się w automat. Przeciążając mięśnie i krwiobieg Colloni wykonał kilkanaście niewyobrażalnie szybkich ruchów. Dziesięć pocisków zdolnych zmieść z powierzchni ziemi dwudziestowieczny bunkier pomknęło wprost na błogosławionego i każdy z nich trafił w neutralizujące ostrze Miecza, który za przyciśnięciem odpowiedniego opalu momentalnie rozłożył się na długość dziewięćdziesięciu dwu centymetrów. Świetliste rykoszety ze świstem zniknęły w ciemnościach puszczy.

Colloni, wykorzystując chwilowy spokój, złożył Miecz i skoczył za pień. Kopnięciem odrzucił nakierowywany na siebie miotacz i chwycił za gardło neosatanistę. Ten, wydając potępieńcze wycie, obnażył zęby i próbował ugryźć błogosławionego, równocześnie kopiąc, drapiąc długimi, ostrymi paznokciami i miotając się szaleńczo w uścisku Colloniego, który spiął mięśnie woru skórno - mięśniowego położonego przed nadgarstkiem, pod kością i na moment rozwierając prawą dłoń chwycił wyskakujący sztylet. Ścisnął go mocno i w efekcie ostrze bardzo malowniczo rozgrzało się do czerwoności tuż przed oczyma neosatanisty. Jeniec uspokoił się nieco. .

Colloni wyciągnął z kieszeni srebrny flakonik i jednym ruchem spryskał satanistę. Więzień ryknął straszliwie, wyprężył się jak struna, a zaraz potem

dziwnie zwiotczał i zzieleniał. Bezwładnie osunął się na ziemię. Błogosławiony wisząc w tym jakiś podstęp poczekał aż dusze przyjazne z całą pewnością stwierdzą, iż jeniec jest nieprzytomny. Potem wsunął sztylet do wora i spojrzał na paznokiec. Była 3.50. Pochylił się i zbadawszy neosatanistę orzekł, że ten jeszcze nie zszataniał.

Colloni nie widział więc potrzeby dalszego tracenia sił. Wyprostował się i uporządkował swój umysł. Piekielny ból mięśni, który dopiero teraz do niego dotarł, zwalił go z nóg.

Był już dzień, kiedy Colloni podniósł się z mokrej trawy. Po dłuższych akcjach zdarzało się, że okres rekonwalescencji trwał i kilka dni. Błogosławiony przeciągnął się i nakazał Przyjacielowi przyprowadzić strat. Dziesięć sekund później maszyna osiadła metr od Colloniego. Związał on satanistę i wrzucił do tylnego przedziału. Ignorując palące się od kilku godzin światło natychmiastowej łączności wystartował wgniatającą w fotel świecą. Nie zadał sobie trudu włączenia klimatyzacji pomimo odoru, jakim zatruwał atmosferę niedoszły diabeł.

O 11.16 kontroler ruchu służbowych stratów z jego działu, ujrawszy go wywlekającego z maszyny satanistę, zdębiał, zakrztusił się kataną a potem odwrócił się i pognął gdzieś jak szalony. Colloni wzruszył ramionami, przywołał towarową platformę, rzucił na nią więźnia, wpisał w pilota docelowe pomieszczenie i nie przejmując się już windą poszedł coś przekąsić. Od dwudziestu godzin nie miał nic w ustach.

Radiwill dopadł go, gdy kończył posiłek.

- Colloni...! - zawołał z groźbą w głosie. - Ja dużo wytrzymuję. Wytrzymałem twoje konszachty z Obcymi, wytrzymałem zabójstwo Gwiazdy Przewodniej, wytrzymałem niesubordynację podczas akcji w Piekło, wytrzymałem twoje tajne klątwy, ale tego ci nie daruję. Odbieram ci tę sprawę i przywileje. Tym razem przesadziłeś.

Colloni ciężko westchnął, odsunął od siebie tradycyjne pojemniki na pożywienie i ironicznie spojrzał na uciekających czym prędzej błogosławionych. W kilkanaście sekund jadalnia opustoszała. Potem przeniósł wzrok na Radiwilla, chwilę przyglądał mu się jakby z wahaniem, wreszcie wstał i spytał pojednawczo:

- Po co te wrzaski? Nie masz się o co obrażać, Charles. Że zniknąłem na kilka godzin? Nie pierwszy raz i nie ostatni. Dobrze wiesz, że zawsze działałem sam i

twoje pierwszeństwa nie obchodzą mnie. Możesz je zabierać. Natomiast co do sprawy, to popełniasz duży błąd. Czasu jest coraz mniej i nie sądzę, byś znalazł kogoś, kto w dwa dni załatwi to, czego w cztery nie mógł załatwić McSonn.

- Chcesz powiedzieć, że tobie te dwa dni wystarczą?

- Dzień. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to dzisiaj w nocy będę wiedział wszystko o Złotej Galerze.

- To teraz ja ci coś powiem: Złota Galera idzie w naszym kosmosie z prędkością piętnaście razy większą od prędkości światła, pchając przed sobą wał czasowy na trzy parseki. Idzie prosto na nas. Ten tchórzliwy Glas ogłosił pogotowie dla całej floty. Szef wywiadu nie schodzi mi z linii. Ciekawy jak cholera. Powiedz, co miałem mu mówić przez te trzynaście godzin, kiedy nie wiedziałem nawet czy żyjesz?

- Coś jednak mówiłeś - zauważył nie bez racji Colloni.

- Won! - Radiwillovi rzadko zdarzało się tak krzyczeć. Won! Wynoś się stąd! Zabieraj tego śmierdzącego diabła i wynoś się! Już nie jesteś błogosławionym. Postaram się, żeby papież wyklął cię jeszcze w tym tygodniu!

Colloni wyszedł z jadalni z twarzą wykrzywioną w ironicznym grymasie. Nie pierwszy raz archanioł wyklinał go z Zastępów. Zawsze dwa, trzy dni po tym przychodził skruszony wysłannik Radiwilla i rzucając oczami po kątach prosił o powrót. Już w kilka godzin można się było przekonać jak niezastąpiony jest Colloni. Dział Zleceń Specjalnych bez niego właściwie nie działał. Po trosze było to zasługą wiernych podwładnych, po trosze jego samego. Nie było powodów do zmartwień.

Colloni uśmiechając się przepaszajaco do swych współpracowników wspiał się piętro wyżej awaryjną wślizgnią. W ogóle Colloni uśmiechał się prawie zawsze, gdy nie był sam. Tak jak powinno być, satanista znajdował się w pokoju 657938 wciąż w szoku. Błogosławiony zabrał go razem z platformą do hali stratów prywatnych, załadował go do tyłu i odleciał do swej twierdzy.

Położona ona była na wysuniętym w ocean cyplu, całym obłożonym kłatwą AIDS VI. Kończąc szeroki łuk skreću strat wleciał do jaskini w urwisku graniczącym ze wzburzonymi falami. Mózg ssawki życia rozpoznał układ atomów będący Collonim i przepuścił go cofając MACki.

Colloni powierzył więźnia Strażnikowi nakazując wrzucić go do sali pokutnej, a sam udał się do pokoju łączności. Przywołując z powrotem uśmiech na twarz wywołał mgłę LottIny. Nie czekał długo. Spośród oparów, naprzeciw konsoli wyłoniła się sylwetka Kai.

- A, to ty Colloni - wszyscy nie wiadomo czemu uznawali jedynie jego nazwisko - znowu cię wylali, co? Z tobą nigdy nie dało się wytrzymać.

- Pół godziny temu powiedział mi to Radiwill.

- Wcale mu się nie dziwię. No... ale chyba nie po to bębniłeś, żeby uzalać się nad swoim charakterem?

- Właśnie. Mam sprawę. Chodzi o 1~łątwę warunkową. Specjalizujesz się w tym, prawda?

- Można by tak powiedzieć...

- A więc. Mato być klątwa stała, ponadczasowa, wpisana w przedmiot, automatyczna ze wskazaniem. Na duszę. Coś ekstra. Sam wpiszę warunek. Prawdę mówiąc, chodzi o szkielet klątwy z mocą wykonawczą, ogólnymi prawidłami i karą. Kara, to cofnięcie pokuty. To musi być silne uwarunkowanie, przeklętym będzie neosatanista.

- Z tobą jest coś nie w porządku - warknęła LottIna nerwowo przeczesując palcami fioletowe włosy.

- Wczoraj dokładnie to samo powiedział McSonn.

- Widocznie nie tylko Radiwill ma coś w rodzaju mózgu.

- Możliwe... - Colloni machnął ręką. - Na kiedy będę miał tę klątwę?

- Nie przypominam sobie, żebym się zgodziła.

- Na kiedy będę miał tę klątwę?

- Mówisz poważnie?

- Chryste! Jestem taki poważny, że zdziwiłabyś się gdybyś tu była.

- Cholera, - ty jak coś wymyślisz...

- No więc?

Wstała z wodnego tapczanu i zaczęła przechadzać się po salonie. Mgła podążając za nią ukazywała nowe fragmenty mieszkania Kai.

- Niech cię diabli, Colloni! Zawsze umiałeś popsuć komuś weekend. No dobra, jak dla ciebie to cztery dni.

- Przykro mi Karm. Muszę to mieć najpóźniej o dziewiętnastej.

- O dziewiętnastej kiedy?

- O dziewiętnastej dzisiaj.

- Powinieneś się leczyć.

- Mówię to Radiwillowi od kilku lat... Jeśli nie postarasz się dla mnie, to dla pieniędzy.

- He, he, he.

- Będę szczery.

- Nareszcie.

- Zamknij się. Jest tak: Pięć dni temu wywiad zaproponował Zastępom pewien interes: W zamian za dość znaczną sumkę, błogosławieni mają postarać się o wyjaśnienie jednego faktu. Wiem, że nie wyjaśnią go, a przynajmniej nie w terminie. Notabene, termin ubiega jutrzejszej nocy. Jeżeli załatwisz mi tę klątwę, zdobędę to, czego nie mogą zdobyć Zastępy. Jak myślisz, co wtedy wywiad zrobi z dość znaczną sumką?

- Na ile znaczną?

- Na czternaście milionów:

Lottlna przełknęła ślinę

- Milionów?

- Milionów. Do podziału.

Kaa z powrotem usiadła na kanapie.

- Będziesz miał tę klątwę: Na dziewiętnastą dzisiaj.

- Pochwalony - pożegnał się Colloni.

Wyłączył mgłę i odetchnął. Po chwili spostrzegł swą własną dłoń ocierającą pot z jego własnego szota. Twardy Colloni na starość zaczynał się denerwować.

Neosatanista wciąż nieprzytomny leżał na marmurowym stole w sali pokutnej, już rozebrany, wymyty i zdezynfekowany. Colloni włamawszy się do zamkniętego również dla siebie banku informacyjnego Błogosławionych Zastępów, zidentyfikował jeńca. Był to niejaki Michel Condway. Lat trzydzieści dwa, od pięciu lat nie stawia się na okresowe święcenia. Poszukiwany przez Zastępy i policję. Na wykazie nie miał zbyt wielu przestępstw, ale i te wystarczały na karę śmierci. Przeciętny czciciel zła, tyle że samotny.

Przyjazne dusze ustaliły, iż ocknie się za około siedem godzin. Oczywiście można by próbować ocucić go wcześniej, nie było jednak żadnej gwarancji, że przeżyje taką kurację.

Colloni poinstruował dusze i uciał sobie drzemkę.

Obudziły go 018.50. Wstał, zjadł coś, przejrzał ciężko strawny serwis informacyjny (ani słowa o Złotej Galerze), popił go Sardwayem 2086 i poszedł do stacji pocztowej mieszczącej się w najwyższym piętrze twierdzy. Błogosławiony był dumny ze swojej kryjówki. Właściwie to jej zawdzięczał życie. Według najnowszych danych, z jego śmierci ucieszyłoby się ponad sześć tysięcy ludzi.

Przesyłka nadeszła o 19.17. Był nią nikłowy pierścień. Z napisem: "35%". Colloni uśmiechnął się do niego i zaczął wpisywać klątwę. Rozbolała go od tego głowa. Wsunął gotowy pierścień do kieszeni i spłynął do sali pokutnej, a właściwie do ganku wiszącego nad nią. Podłoga, ściany i sufit wyłożone były skomplikowanym układem luster zogniskowanych na marmurowym łożu. Leżący na nim, gdziekolwiek by spojrzał, widział jedynie siebie. Siebie, oprawców i to co z nim robiono. Strach był nieodłączną częścią pokuty.

Condway obudził się o 19.37. Raczej późno. Colloni natychmiast włączył tuby powietrzne.

- Witam, witam, Michel. Jak się spało?

Neosatanista syknął w odpowiedzi. Miał ciało objęte setkami elektrycznych

igieł i każda z nich przy zmianie położenia zwiększała tortury.

- Dobrze, dobrze, pożartowaliśmy sobie, a teraz przystąpimy do konkretów. .

Condway taktownie milczał.

- Wiesz bardzo dobrze, że twoje życie jest w moich rękach. Mogę cię zabić w każdej chwili i jeszcze mi podziękują. Gdybym cię teraz na przykład udusił, niewątpliwie dostałbyś się do Piekła, lecz nie jako diabeł. Muszę cię zmartwić, jeszcze nie zszataniałeś. Zdajesz sobie sprawę co to dla ciebie znaczy?

Cisza.

- Wieczny trzeci poziom. Nie tego sobie życzyłeś szataniejąc przez te wszystkie lata. Na szczęście, na szczęście dla ciebie, nieoczekiwanie zmiękło mi serce. Mogę cię uratować.

- Jak? - wychrypiał Condway.

- Istnieje coś takiego jak pokuta, prawda? Oczywiście, normalna pokuta już się ciebie nie ima. No, ale ja, z nadzwyczajnymi błogosławieństwami papieża... - Colloni leniwym ruchem włączył oświetlenie sali pokutnej. - Widzisz te urządzenia? Condway nie bacząc na igły nerwowo się rozglądał. - Przy ich pomocy na pewno zdołasz odpokutować całe życie przez kilka godzin.

Michel zadrżał.

- Nie robię tego z litości. Coś za coś. Kiedy już odpokutujesz ile trzeba, wyślę cię na tamten świat. Dzięki tym maszynom nie ściągnie cię do Piekła, a przynajmniej nie od razu. Słuchaj uważnie. Zaraz po śmierci pomkniesz do gwiazdy Altair, całą drogę wszczepię ci pod hipnozą; i w tej okolicy odszukasz pewną rzecz, którą również ci wszczepię. Odszukasz raczej bez trudu, jakli dusza mógłbyś odnaleźć mniejsze rzeczy. Zbadasz ją dokładnie i dowiesz wszystkiego, co możliwe. Musisz zdążyć zrobić to w ciągu najwyżej trzech godzin. Jeśli po tym czasie nie wrócisz i nie przekazesz informacji moim duszom przyjaznym...

- To co?

- Słyszałeś może o klątwach warunkowych? Zmyślne przekleństwa.

- Jako duszy nic mi nie zrobisz.

- Oczywiście, jako duszy nie, ale założywszy teraz warunek ponadczasowy, mógłbyś go uaktywnić już po śmierci. W ten sposób klątwa zadziała na ciebie - człowieka, żyjącego, materialnego i wstecznie wpłynie na ciebie - duszę.

- Gównu mi robi.

- Tak myślisz?

- Tak myślę.

- No to wyobraź sobie, że tej pokuty nie będzie, a raczej nie było. Automatycznie ściąga cię na trzeci poziom. Anulując pokutę kilka godzin wcześniej, tobie - człowiekowi, zmieniam przyszłość ciebie - duszy.

- Jaką mam gwarancję, że nie przestoisz klątwy po wykonaniu przeze mnie zadania?

- Nie masz żadnej gwarancji poza moim słowem, a wiedz, iż jest to słowo Błogosławionego Przez Świat. Wystarczy ci to?

- Wystarczy. Ale...

- Ale?

- Nie rozumiem jak może być uznana pokuta, której nie pragnie pokutujący.

Colloni uśmiechnął się.

- A ty jej nie pragniesz?

Condway otworzył usta i zaraz zamknął je. Więcej się nie odezwał.

Colloni wyłączył tuby powietrzne i sprawdził jak dalece Condway zszataniał. Żle. Paskudnie. Michel był na skraju zszatania całkowitego. Przy najintensywniejszym programie tortur pokuta skończy się o trzeciej nad ranem.

Colloni włączył mózg kierujący torturami i poszedł spać. Tui przed zaśnięciem posłał dusze, by sprawdziły czy Radiwill jutro zamierza go przeprosić. Radiwill zamierzał.

## **Dzień ostatni**

Dusze obudziły go o 2.30. Wziął czystkę, przekąsił coś, pomodlił się, odebrał

kilka zarejestrowanych mgieł z obłudnymi wyrazami współczucia i spłynął do sali pokutnej. Automaty i hipnotyzery wykonały już zadanie. Condway bardziej przypominał androida po ćwiczebnej sekcji, niż żywego człowieka. Właściwie powinien być nieprzytomny, lecz dzięki swej wierze w szatana, czy też dumie, był świadom wszystkiego co działo się wokół.

Gdy światła przygasły, odezwał się słabym głosem.

- Ty, błogosławiony, jesteś tam?

- O co chodzi?

- Przemyślałem sobie, to co mi naopowiadałeś i doszedłem do wniosku, że coś kręcisz.

- O, ciekawe. - Colloniego wręcz ogłuszyła wytrzymałość tego człowieka.

- O ile wiem, to wszyscy błogosławieni posiadają przyjazne dusze i Przyjaciół. Czemu ich nie wysłałeś do tego cholernego statku?

- Jesteś dobrze poinformowany. Jeśli chodzi o Przyjaciela, to jest on istotą materialną, okresowo bezpostaciową, zaklętą w dany przedmiot, zwykle klejnot. Praktycznie rzecz biorąc, ma takie same szanse dostania się do Galery jak każdy normalny człowiek. Co do dusz, to żyją one ze mną niejako w duchowej symbiozie. Wysłanie choćby jednej z nich dalej niż około sześćdziesiąt dwa kilometry, doprowadziłoby do mojej śmierci. Mówię ci to dlatego, bo i tak już z nikim się nie porozumiesz. W każdym razie zrozumiałeś, czemu zawdzięczasz swoje szczęście?

Condway wycharczał coś w odpowiedzi, ale Colloni pomimo licznych wzmacniaczy nie zrozumiał z tego ani słowa. Wzruszył ramionami i wyłączył aparaturę.

Michel Condway umarł szybko, bez jęków i dramatycznych scen.

Uśmiech spęzł z twarzy błogosławionego; który nagle poczuł się dziwnie niepewnie. Zaklął i wyszedł na Sardwaya 2986.

A Condway, nareszcie wolny i bezcielesny; nie czując bólu, wzniósł się pod gwiaździste, gościnne niebo.

Chłodne powietrze przenikało go jak dym niewidoczny dla nikogo. Przestrzeń,

która go otaczała znana mu była, jakby od lat nic innego nie robił tylko obserwował każde źdźbło trawy, każdy kamień, każdy pagórek, każde drzewo. Gdy zamknął oczy, których już nie miał, tak samo dobrze mógł polatywać nad ziemią, znając długo wcześniej drogę, którą dopiero przebędzie. Tak samo dobrze mógł wsłuchiwać się w szum nocnej ciszy, gdy nie miał już uszu. I zapachy wszelkie krążące po przeludnionej planecie czuł powierzchnią swego ciała. Ciała, którego nie miał. Którego nie chciał mieć.

Zapragnął odepchnąć od siebie ten ciężki, przygniatający umysł śmietnik. Wyprężył się, wysmukłał, jak orzec gdy pikuje ujrzawszy ofiarę, chęć lotu - szybkiego, piorunującego zmąty wezbrała w nim niczym lawa pod wulkanem, a gdy wybuchła... nagle... gorącem, chłodem, fontannami barw, jakich nigdy nie widziały jego martwe oczy, kaskadami dźwięków, jakich nigdy nie słyszały jego martwe uszy... Wszystkim tym, czego satanista nie zaznał za swojego przekłętą życia... Gdyby mógł, zaśmiałyby się, zapłakał nad wszechświatem, co jest tak bezsensowny.

I kiedy tak krążył dookoła słońca, zaledwie w sekundę po śmierci, w jego pamięć wtargnął sztuczny, wszczepiony obraz majestatycznej Złotej Galery. I zamarł Condway w swym tańcu żałobno - pochwalnym, zamarło jego serce, które było umysłem, ciałem, myślą i wolą, zamarła cała dusza neosatanisty Michela Condwaya.

Pokornie, jak pątnik, stłumił Condway swe uczucia, co rozszalały się na kilometry wokół. Jak pątnik, choć nienawiść, której się uczył niczym katechizmu przez lata całe, choć ta nienawiść paliła, piekła go... bch, shaaah, jakże nienawidził Colloniego. Nienawidził, bo odebrał mu szansę zostania szatanem. Nienawidził, bo upokorzył go po raz pierwszy od złożenia Przysięgi... upokorzył i przeżył. Nienawidził, bo zmusił go do zrobienia czegoś, czego teraz jako dusza... czego bał się, czego nie chciał zrobić! Nienawidził, bo sprawił on, iż jest czysty jak pobożny chrześcijanin, a nie wieloletni satanista. I wreszcie nienawidził go za to, że nienawidził i nie był w stanie nic mu zrobić.

Tą nienawiścią przepojony rzucił się w śliską drogę do dalekiej gwiazdy. Wiedział kiedy, gdzie mrugnąć chęcią, gdzie pchnąć niechęcią. Wiedział i ta znajomość trasy była mu tak samo wroga jak Colloni.

Mknał... mknał... mknał...

I zapragnął zatrzymać się i nie zatrzymał. Bo chęć jego znacznie później

zaistniała niż byt w tym punkcie przestrzeni. Nie potrafił wyczuć czasu, który wszak powinien wlec się powoli. Pędził naprzód splątany w jego cofająco - postępujące węzły. A potem - przedtem wszystko skończyło się i jedynie Złota Galera pozostawała w dziwnie znanej, naturalnej i zwykłej pustce.

Condway usunął się i poszybował obok burty statku. Serce sprzeciwiało się temu, ale cóż może serce, gdy świat chce inaczej. Michela ścisnął strach, tym straszniejszy, że widoczny tak samo jak i Condway.

Lśniły kilometrowe drzazgi, błyszczało daleko, daleko, czerwone słońce. Cisza i podmuchy próżni doprowadzały satanistę do szału:

Nagle ruch jakiś wyczuł tuż przy sobie. Skierował pragnienie spojrzenia w górę i ujrzał niezliczone rzędy wielkich wioseł rytmicznie poruszających się, pchających okręt prosto ku Ziemi. Błyskały raz po raz zasłaniane i odsłaniane gwiazdy, łopotały żagle i załopotała śmiertelnie przerażona dusza Condwaya. Coś obcego, cuchnącego złem wkradało się w granice jego wiadomości.

Zniewolony, zamrożony, zatrzymany w swym drugim istnieniu zachłysnął się Michel szatanem. Zachłysnął tym wszystkim, czego pragnął przez całe życie, a co dopiero teraz ukazało swe oblicze nie rozciągnięte w grymasie życzliwości, tak odmienne od wyobrażeń. Pancierz pokuty pękł pod naporem zła. W jednej setnej sekundy Condway zdumiał się potęgą szatana, przeraził się swoją wiarą i rzeczywistym diabłem, zdumiał się i przeraził, bo nagle, zupełnie wbrew jego woli coś w nim zawołało: "Ratuj, Panie!".

Zaśmiał się szatan pociągając go za sobą, w górę, na pokład i potem w dół, gdzie poruszano wiosłami. Michel wyrywał się, szarpał, lecz powoli chęć walki w nim umierała.

W soczystych szponach Condway dyszał strachem słysząc coraz głośniejsze bicie w bębny, coraz przeraźliwszy krzyk:

- Raz... dwa... Raz... dwa...

W tym samym czasie Colloni odbierał mgłę wysłannika Radiwilla, bełkoczącego coś o poczuciu obowiązku.

Błogosławiony pociągnął wprost z butelki wiekowego Sardwaya i niecierpliwie machnął ręką.

- Dość tego! Radiwill bardzo dobrze wie, że i tak wrócę. Lepiej powiedz - uśmiechnął się kwaśno - jak wam idzie z Galerą. Wysłannik widocznie był poinformowany o całej sprawie, bo tylko westchnął i zaklął.

- Eee.. - mruknął wreszcie poganiany przez Colloniego. Radiwill sam się tym zajął, Szkoda gadać... Jak dotąd, znalazł coś w Księdze Proroctw Gwiazdy Przewodniej. Uczepił się tego i już od kilku godzin nie ruszył z miejsca.

- Księga Proroctw, powiadasz? - zainteresował się Colloni. No nic. Znikaj.

Błogosławiony posłusznie zniknął.

Lekko zdenerwowany Colloni odłożył starożytną butelkę i wpłynął wyżej, do biblioteki. Wszelkie książki posiadał w tradycyjnej formie, co z biegiem lat coraz więcej go kosztowało. Podszedł do wielkiego regału i wyciągnął oprawną w skórę, raczej cienką Księgę Proroctw Gwiazdy Przewodniej.

Usiadł w zabytkowym, głębokim fotelu i zaczął kartkować książkę.

Pół godziny później, o 3.40, przeczytawszy pewien fragment poderwał się jak oparzony, rzucił Proroctwa w kąt i pogalopował do stratu.

Już w maszynie, ochłonawszy nieco, lecąc z maksymalną prędkością w kierunku Sydney, połączył się za pośrednictwem przyjaznych dusz ze swoim mózgiem w Błogosławionych Zastępach. Natychmiast po uzyskaniu potęczenia odszukał dane owego komandosa nie pogrążonego w letargu, oszalałego po kontakcie z Galerą i przestraszył się jeszcze bardziej. Określiwszy według jego parametrów przedział osobowy, nałożył nań charakterystykę ludzkości. Wynik był zatrważający.

Nie więcej jak pięćdziesiąt milionów miało szansę na przeżycie.

...i nadejdzie dzień, gdy spojrzawszy w niebo ujrzycie przeklęty statek na spotkanie z waszymi duszami pędzący, przez was pchany, ku waszej zagładzie. I nic nie będziecie mogli uczynić, jeno patrzeć i czekać, by szatan zabrał co do niego należy. Przejdzie jak rybak z siecią przez wasze potężne imperium, a zostawi tak nielicznych, że nie odnajdą się nigdy, przerażeni i zagubieni, rozrzućeni po pustkowiu...

W wielkim budynku Błogosławionych Zastępów nikt nie okazał zdziwienia na widok Colloniego pędzącego jak szaleniec, natomiast wielu zdumiało się

spozostregłszy drzenie jego rąk i błyski przerażenia w oczach. Kierownik Działu Zleceń Specjalnych minął ów dział i wpłynął wyżej, na piętro Radiwilla.

- Charles! - wrzasnął wbiegając do gabinetu archanioła. Charles...!

- Co jest? - Radiwill właśnie obliczał coś na mózgu i nagle wtargnięcie Colloniego, choć zapowiedziane przez dusze, nieco go zirykowało. Colloni nigdy się tak nie zachowywał. - O co chodzi?

- O co chodzi? - powtórzył z gorzką ironią błogosławiony i ciężko usiadł na jednym z dryfujących foteli. - Zbliża się koniec świata, Charles, koniec świata.

Radiwill wzruszył ramionami.

- Nie dla wszystkich. Będą tacy, co przeżyją.

- I ty mówisz to tak spokojnie?

- A jak mam mówić? Zresztą... to jeszcze nie takie pewne.

- He?

- Jeżeli czytałeś dokładnie, na pewno zauważyłeś, iż Gwiazda Przewodnia wspomina również o okręcie, który prawdopodobnie wyprzedzi statek szatana, lecz jedynie wystraszy ludzi.

- Tak myślisz? A ci komandosi?

- Są ludźmi i też mogą być elementami zastraszenia.

- Słuchaj... ja wysłałem tam na rekonesans duszę...

- Ty skończony idioto!

- Nie swoją przyjazną duszę. I~uszę człowieka, który umarł niecałą godzinę temu. Kazałem mu przed śmiercią sprawdzić co jest grane i wrócić.

- Gdzie ty nagle znalazłeś umierającego człowieka?

- Sam go zabiłem.

- Można się było tego po tobie spodziewać.

- To był neosatanista. Wczoraj w nocy złapałem go w Europie.

- I masz pewność, że wróci?

Colloni wyjął pierścień.

- To jest klątwa warunkowa. Jeśli on nie wróci do piątej pięćdziesiąt osiem, zostanie cofnięta pokuta, którą mu zaaplikowałem. o

- Jeżeli to statek szatana, to nie wróci.

- Właśnie... - błogosławiony skrył twarz w dłoniach. Palce drżały mu, choć ze wszystkich sił starał się opanować. Nerwowo kręcił głową, a włosy były go po rękach. Skrył twarz w dłoniach, bo skóra zbieleła mu, jakby miał zemdleć, wargi nerwowo coś szeptały, a łzy, o których zapomniał przed dziesiątkami lat, cisnęły mu się do oczu.

Radiwill zmarszczył brwi.

- Spokojnie. Nie jest tak tragicznie...

- Nie tragicznie... ! - Colloni histerycznie roześmiał się.

Archanioł wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż panoramicznego okna. Za nim zalegał półmrok rozjaśniany od czasu do czasu przez przelatujące blisko straty, których światła pozycyjne rozmazywały się w pędzie w zamglone różnokolorowe pasma. Stratgazy reklamowe były w oczy jaskrawością swych barw. Błyskały wyładowania pola ochronnego budynku, gdy ktoś przejąwszy ręczne stery pozwalał sobie na niebezpieczne szarże prawie ocierając się o trzykilometrowy kolos. Na pobliskim kosmoporcie cięły mrok asekuracyjne lasery, kiedy jakiś potwór przestrzeni wzbijał się bezczelnie, uciekając grawitacji ze swymi milionami ton. Długie, gąsienicowe konwoje pędziły z ponaddźwiękową w swych fioletowych rynnach tuneli bezgrawitacyjnych znikających wraz z nimi. Gigantyczne, piękne w swej dostojnej a obcej sile życia powietrzne lilie dryfowały na dole, tuż nad ziemią, oddzielając pełne zgiełku życie od podarowanej przyrodzie powierzchni planety.

Rozumiem cię - powiedział Radiwill cicho i spokojnie. - To straszne. Przez tysiąclecia budujemy wielkie imperium, miliardy ludzi są szczęśliwe. Chcą żyć. Wiedzą, że wciąż zagraża im szatan, ale przed szatanem bronimy ich my. I nagle... Jesteśmy bezradni. Nic nie możemy poradzić na to co się stanie. Ocaleją jedynie ci, którzy żyli zgodnie z wielkim Sumieniem. Może to egoizm z mojej strony, ale przecież my zostaniemy, więc wielkiego powodu do rozpacz nie ma.

Colloni pokręcił głową, wolno jakby opuszczały go siły. Trząsł się cały, chociaż z trupiobladej twarzy nie schodził mu znany wszystkim uśmiech. Strasznie z nim teraz wyglądał.

- Zostaniemy, tak? - próbował się zaśmiać. - No... żyjemy zgodnie z Sumieniem.

Colloni rozciągnął twarz w jeszcze szerszym uśmiechu. Poderwał się z fotela, otworzył usta, zamknął je, usiadł, bezgłośnie zarechotał, znowu wstał i odrzucił głowę do tyłu, a po jego zarośniętych policzkach popłynęły łzy.

Radiwill podszedł do niego i jednym ruchem posadził go jak kukłę.

- Siedź - rzekł twardo. - Siedź i czekaj.

Potem spojrział na krzyż wiszący nad drzwiami i powiedział:

- Może masz jeszcze jakąś szansę.

I czekali.

Znieruchomiały Colloni i ponury Radiwill wpatrzony w łunę miasta. Złota Galera pędziła ku Ziemi szybciej niż najszybsze ziemskie statki. Zbierała żniwo i z Mald, i z Katio, i z Jeonast IV, i z Rattona, i z Bed - tanu...

Wybiła godzina szósta i zmieniły się cyfry na paznokciach, a leżący na stole pierścień pękł z cichym trzaskiem. Już i w Układzie Słonecznym dusze opuszczały ciała. Mknęli porywani znienacka - kobiety, mężczyźni, dzieci...

...te miliardy dusz ludzi, którzy myśleli, że żyją dobrze, że żyją wspaniale, przyciśnięte teraz mocą ich zła do złotych wioseł... Myśli, które zapierają się z całych sił i pchają lśniący drag, i ciągną lśniący drag...

Pozostał jedynie krzyk szatana, głos bębnow, skrzypienie wioseł...

- Raz... dwa... Raz... dwa...

I nagle ciało Colloniego bezwładnie zważyło się na podłogę. Szkliste, nieprzytomne oczy patrzyły w jasność nad miastem, w wielkie wschodzące słońce. W budynku Zastępów rozległy się wrzaski i pokrzykiwania. Ktoś przerażony jęczał: "Chryste!"

Radiwill miał właśnie zamiar podziękować Bogu, ale usta zastygły zamknięte, ręce zacisnęły się na poręczach fotela i opuściła go dusza.